Ner 5. Kraków, 3go Lutego. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta" wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Jeszcze o szczerości.

(Zobacz Nr 1).

Mówiliśmy już poprzednio o szczerości, ale ze stanowiska więcej biernego. Owóż chcielibyśmy jeszcze powiedzieć słów kilka ze stanowiska pozytywniejszego.

Nie potrzebujemy, zda się, tłumaczyć jak wielką zaletą jest szczerość, wszakże dosyć będzie powiedzieć, że jest więcej jak święta, bo obowiązkiem religijnym i moralnym, jedynym warunkiem nareszcie zdrowego i trwałego układu społecznego. Na kłamstwie zbudowane społeczeństwo musi się rozpaść, a gdy fałsz wciśnie się raz do rodziny, pękną wszystkie węzły moralne. Utrzymywać zatem szczerość w społeczeństwie, i w rodzinie jest najważniejszem zadaniem wyższej moralności. I dziś więcej, niż kiedy — rzecz to dziwna, ale prawdziwa! — bo na drodze materyalnego i spekulacyjnego postępu, która się przecie gruntuje na matematyce, nauce najmniej omylnej i najszczerszej bo koniecznej, dochodzimy do najsmutniejszych rezultatów fałszu i hipokryzyi. Szał spekulacyjny do tego dochodzi stopnia, że w każdym niemal bliźnim widzimy współzawodnika jeno, którego trzeba oszukać, aby nie być od niego oszukanym; a nawet do rodziny wciska się nieufność emulacyjna, dochodząca do tego stopnia, że się już odzywały głosy, jako rodzina jest niepotrzebną, zawadzającą instytucyą.

Bronić się zatem naprzeciw nieszczerości wszelkiemi środkami jest dziś rzeczą najważniejszą; bronić się naprzód na łonie rodziny, bo tam zniszczona, nie tak łatwo szerzyć się będzie po społeczeństwie całem. A w rodzinie, któż na jej czerstwy i zdrowy rozwój więcej wpłynąć może od matki rodziny? Matki pierwsze pieszczoty, to pierwsze dziecka wychowanie; matki pierwsze słowa, wciskają się w miękki umysł i miękkie serca dziecięcia, i tam zostają, nigdy zupełnie niewytartemi śladami.

Tu musimy zrobić uwagę nawiasową. Mnóstwo popisano arcymądrych traktatów o tem, azali zalety i zdrożności, cnoty i wady człowiek już z sobą przynosi z urodzenia, lub też ich dopiero nabiera przez wychowanie, i inne na jego ukształcenie wpływające okoliczności. Uczeni pisali tak i owak. Wielką mamy pokusę powiedzieć, że pisali uczone brednie. Gdyby już człowiek na swej czaszce przynosił na świat potwierdzenie systemu Galla, i rodził się już dobrym albo złym—sprawiedliwość na niebie byłaby zbyteczną, a na ziemi kodexa wszystkie istnym nonsensem.

My wychodzimy z tego przekonania, że człowiek przychodzi na świat jako czysta i biała karta pergaminu, na której pierwsze zarysy przyszłości umysłowej i moralnej wypisuje pierwsze wychowanie. Przekonani, jak wyżej rzekliśmy, że to pierwsze wychowanie głównie od matek zależy — choć zapewne niewyczerpiemy całego tego tak ważnego przedmiotu — i a przedewszystkiem chcemy poświęcić od czasu do czasu kilka aforystycznych uwag nad tem, jakby najlepiej wszczepić w rodziny szczerość. Mówiąc zaś o niewiastach, rozumie się samo przez się, że mamy na myśli głównie i jedynie naszą niewiastę polską, jako pierwszą nauczycielkę rodzin polskich, a więc i społeczeństwa naszego.

Pierwszą i najważniejszą jest niezaprzeczenie szczerość mowy, bo mową tłumaczy się myśl, bo mowa jest poprzedniczką i wstępem niejako do czynu. Kto się nauczy szczerze mówić, ten będzie niezawodnie szczerze myślał i szczerze działał. Szczerze zaś mówić można tylko językiem ojczystym, własnym, bo mowa każdego narodu, jest jedyną formą wyrażania się, którą wyrobiły wszystkie tego narodu myśli i uczucia, wszystkie jego właściwości, i całe jego nawet stanowisko społeczne i moralne. Własnym tylko językiem można szczerze myślić, i myśl tę oddać tak zupełną, jak była pomyślaną. Choćbyś najlepiej umiał języki obce, gdy zechcesz myśl swą wypowiedzieć obcą mową, zawsze myśl twa straci coś z swej szczerości — jak kwiat na obcą przesadzony ziemię, traci część swej barwy najpiękniejszej i najcudniejszej woni.

Jest to tak dalece prawdą, że ludzie, co wiele żyli w świecie, i mieli w nim sposobność rozmawiać obcemi językami, sami się pewnie na tem połapią, że... gdy zechcą choć trochę skrzywić prawdę, pewno obcego użyją języka.

Wyglądać to może na paradox; ale niemniej przeto zapiszemy tu postrzeżenie na mnogich doświadczeniach oparte, że: mówiący do kochanki, które chce olśnić przesadnem swej miłości wyznaniem, użyje do tej przemowy języka francuskiego. A czyż tego nie doświadczyliśmy niezliczone razy, że mówiącemu w jakimś interesie rachunkowym, spekulacyjnym, jeżeli chce zamydlić nieco oczy temu, do którego przemawia, i którego by chciał wciągnąć, mimowolnie ciśnie się do ust język niemiecki, jako u nas mianowicie, język najgłówniej kontuarowy.

Owóż pierwszą zasadą matki rodziny: być powinno, by z pierwszego wychowania, aż do lat kilku, gdy się już rozpocznie szereg innych nauk, wypędzić zupełnie obcą mowę. Dziecko polskie powinno pieścić się z matką po polsku, przerwać swe słowa kształcić w języku rodzinnym, w nim sylabizować, czytać, modlić się, i myśli swe układać.

Daleko by nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli się głębiej nad tem rozwodzić. Powiemy więc tylko w krótkości, że to zepsucie moralno-narodowe, które

gorzej rdzy przeżarło część jedną naszego społeczeństwa, przyniosły nam do ojczyzny bony francuskie, te wszystkie lafiryndy guwernantki i zalotni labusiowie francuzcy, którzy, przez kilka pokoleń dzieci rodzin polskich poczciwych przerabiali na mazgajów, egoistów i szachrajców, co przeszachrowawszy swoje własności, ponieśli na targ i większą... nie swoję, bo powszechną własność.

A żaden język tak się łatwo nie podaje do tej lekkiej, gładkiej i towarzyskiej obłudy, jak język francuski?... Czego nie skłamiesz i nie zmyślisz po polsku, to najsnadniej obsłonisz z wielką gracyą po francusku.

Nie darmo język francuski obrano za język dyplomacyi całego świata.

Nie darmo też ów wielki szachraj dyplomatyczny: Tallejrand, przecież sam rodowity Francuz, wypowiedział, że mowa człowiekowi nie jest na to dana: by to wypowiadał, co myśli; ale na to: by myśl swą obsłaniał.

Takie zdanie może się tylko stósować do języka kalamburów, epigramatów, madrygałów i dwuznaczników.

Nasza mowa poczciwa na to się nie nada. Ś. p. Ossoliński, twórca Zakładu swego imienia, powiedział w pewnem posiedzeniu:

— Język polski jest tak jędrnym, jak polska kiełbasa.

Jest w tem powiedzeniu nieco prawdy oddanej z sprytem rubasznym. My byśmy raczej porównali język polski do stali: ma on jej połysk, hartowność, nieprzeżytą trwałość. Jak stal: w brzeszczocie, może być ostrym; jak stal: w pługu może najgłębsze umysłowe orać skiby.

Szanowne Matrony nasze!... jeżeli chcecie by pokolenia waszą ręką piastowane były szczere sercem i myślą—szanujcie mowę ojczystą!... uczcie wasze dzieci mówić językiem ojców naszych!..... szanujcie jako skarbu najdroższego czystości tej pięknej mowy naszej!...

(9).

ELŻBIETA,

Królowa angielska.

(Ciąg dalszy).

Wojnę z Francyą, w którą się Anglia dla dogodzenia jedynie Filipowi IImu, hiszpańskiemu, wplątała, zakończyła Elżbieta już na dniu 2go kwietnia 1559 zawarciem pokoju w Château-Cambresis. Ale, gdy Franciszek IIgi, francuski, po śmierci swego ojca wraz z żoną swoją, Maryą Stuart, wbrew warunkom pokoju przyjął tytuł i herb króla angielskiego, a więc tem samem prawo dziedzictwa Elżbiecie zaprzeczył: ta nie wahała się popierać niepokojów w Szkocyi z powodu reformacyi wybuchłych, i zdołała skłonić Maryą Stuaurt do przyrzeczenia, że po śmierci swego męża zrzecze się tytułu królewskiego — co udało się królowej angielskiej w skutek kapitulacyi posiłkowego w Szkocyi wojska francuskiego.

Podaremne były wszelkie starania się o rękę królowej Elżbiety, która przed parlamentem oświadczyła, że sobie ma za chlubę: pozostać dziewiczą królową. Wielbiciela swego lorda Dudley-a, z którym znajomość jeszcze w Towrze zawarła, mianowała hrabią Leicester i pierwszym ministrem. Będąc prawie męzkiego usposobienia, była przecież tak słabą, że chciała uchodzić za najpiękniejszą białogłowę w Europie. Gdy tedy Marya Stuart, owdowiawszy, z Francyi 1561 r. powróciła do Szkocyi dla objęcia jej rządów, Elżbieta zapaliła się nienawiścią do niej raczej jako współubiegująca się o pierwszeństwo w zaletach z wdzięków wynikających, aniżeli z powodów roszczeń do angielskiej korony, jakie Marya miała, lub mieć mogła. Nie zezwoliła Maryi na przejazd przez Anglią, o który ją ta prosiła, i gdy Marya nie Dudleyowi (Elżbiecinemu faworytowi), lecz stósownie do życzeń narodu, rękę oddała szkockiemu lordowi Darley, mającemu najbliższe prawo do korony szkockiej, bo był potomkiem Lenox-ów: królowa angielska gniewu swego już wcale pohamować nie mogła, jakoż go nie hamowała, ani nawet nieosłaniała. Kazała więc krewnych Darnleya powsadzać do Towru i z dóbr powyzuwać. Nadto, i lekkomyślność i gorące obstawanie za katolicyzmem Maryi, nastręczyły Elżbiecie środki, któremi pobudziła magnatów szkockich do jawnego przeciw własnej królowej powstania.

Marya musiała, umknąwszy z zamku swego Lochlewen 1567, szukać schronienia na ziemi angielskiej, a Elżbieta, korzystając z tego wypadku, kazała ją uwięzić, jakoby z powodu, że szkocka królowa powinna sie wywieść, iż się w niczem do zamordowania swego małżonka, Darnleja, nieprzyczyniła.

Rok, dopiero co wymieniony (1567), stał się dla Anglii ubocznie bardzo ważnym. W tym bowiem roku wkroczył książę Alba, despotyczny sługa tyrańskiego króla Filipa, na czele wojska z Włochów i Hiszpanów złożonego do Niderlandów. Postrach, który przed nim kroczył, przeszło 100,000 kupców i rzemieślników niderlandzkich wygnał z miłej ojczyzny, i spowodował do wniesienia swego przemysłu w obce kraje, a szczególniej do Anglii, która nim i do największej potęgi wzrosła i całemu światu przodkuje podziśdzień.

Lecz wróćmy do Elżbiety.

Dwadzieścia lat już niewoliła królowa angielska Maryę szkocką przeciw wszelkim prawom narodów w więzieniu, gdy w r. 1587 na dniu 8 lutego ujźrała się spowodowaną wydać wyrok śmierci na straszną jej jeszcze dotąd rywalkę. Powody do tego okrucieństwa Elżbiety były różne. Wymieniamy je: Marya nie taiła się z swoją do niej nienawiścią; Northumberland, Westmoreland i książę Norfolk czynili usiłowania do oswobodzenia szkockiej królowy; Babington uczynił zamach na życie Elżbiety; na nią papież Pius Vty rzucił też klątwę, która ją szczególniejszym sposobem rozdrażniła, jak wcale niepowinna była rozdrażnić szczerej i gruntownej akatoliczki.

Elżbieta, dokonawszy mordu na ukoronowanej głowie, przelękła się skutków swej zbrodni, więc kazała ukarać swego sekretarza stanu Davisona, jakoby ten przekroczył dane mu pełnomocnictwo; Jakóba VIgo zaś, króla Szkocyi, następcę i syna Maryi, starała się ułagodzić uczynionemi mu widokami na koronę angielską. Co zaś do króla francuskiego, Henryka IIIgo, o tego mniej się troszczyła Elżbieta, widząc, że wwikłany w najwścieklejszą wojnę domową, obcemu mocarstwu groźnym być wcale nie może.

Parlamentu niezwołała była królowa Elżbieta żadnego od 1566 aż do 1571 roku, a przecież jej despotyzm nie tyle się przykrzył angielskiemu narodowi, ile niegdyś jej ojca, bo samowolna ta kobieta użyła władzy swojej do rozwinięcia bytu materyalnego swoich poddanych — czem bardziej, niż innemi środkami, tron swój umocniła. Wprowadziła mianowicie największy porządek do skarbowości tak, że zdołała znaczną część długów publicznych spłacić bez nałożenia nowych ciężarów na kraj; i postawiła go w stanie najdostateczniejszej obrony. Ró-

wnocześnie ofiarami pieniężnemi i stósownemi prawami poparła królowa rolnictwo i przemysł rękodzielniczy a szczególniej—najżywotniejszą dla Anglii instytucyą, t. j marynarkę, umiała na świetnej postawić stopie, co ostatnie tem większem było dla niej i Anglii szczęściem, że niezmordowany w przedsięwzięciach i nieustający w wytężaniu sił Filip II, hiszpański, gotował na Anglią straszliwą wyprawę morską, postanowiwszy wywrzeć od dawna warzoną zemstę na Elżbiecie, która pod dowództwem swego faworyta Leicestra (Dudleya) posiłki wysłała Niderlandom.

Filip IIgi uzbroił przeciw Anglii i Niderlandom 130 wojennych okrętów (niezwyciężoną armadę) kosztem 60 milionów talarów. Niezwyciężona armada miała pokonać wszystkich wrogów rzymskiego kościoła, należało więc, aby naprzód skruszyła potęgę Anglii, jako ognisko kacerstwa, i gdzie wyklęta panowała królowa, nie samych Niderlandczyków... lecz i francuskich Hugenotów wspierająca, a która już w 1578 wybrzeża Peru spustoszyć była kazała Franciszkowi Drake, który też 1586 w Kadyksie wielką transportową flotę hiszpańską zniszczył właśnie, gdy Tomasz Cavendish równocześnie 19 hiszpańskich okrętów z wielkiemi ładunkami zabrał na południowych morzach.

(Dok. nast.)

Po sześciu latach.

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Właśnie co minęły godziny szkolne. Kilkudziesięciu chłopców wiejskich z niesfornym hałasem wybiegło z izby szkolnej — za nimi kroczył poważnie wysoki, chudy mężczyzna. Był to już starzec najmniej sześćdziesięcioletni — szczupły i przerzedzony zwój białych włosów spływał mu na pochylone wiekiem barki — a twarz wywiędła i blada, piękna zarówno powagą i godnością, jak i rozlaną po jej rysach otwartością i łagodnością, poorana była licznemi zmarszczkami. Był to nasz wiejski nauczyciel, stary Cyryl.

Zmęczony kilkugodzinnem, żmudnem uczeniem niekoniecznie pojętnych i powolnych chłopiąt — odetchnął stary Cyryl swobodniej, i wyprowodziwszy swych uczniów aż do drzwi, patrzał za nimi z progu przyjaźnem, szczerem okiem. A gdy już dziatwa rozbiegła się na wszystkie strony i zniknęła pomiędzy szaremi chatami, wyszedł na podwórko i usiadł na ławeczce pod gruszą. Rzeźwy chłód wieczorny krzepił widocznie starca, bo z upodobaniem wciągał w siebie powietrze, które się mięszało z wonią, zalatywającą z Marysinego ogródka.

Nasz sędziwy staruszek, jak już rzekliśmy z początku, trzydzieści lat blisko przebywał już w tej wiosce. Żył w niedostatku prawie, bo płaca, którę pobierał, nie wystarczała nawet zupełnie na utrzymanie, a tem mniej wynagradzała te zmudne trudy, którym się z prawdziwem zaprzeniem poddawał. Bo też i nie było zapewne nigdy nauczyciela, któryby się z większą gorliwością poświęcał kształceniu ubogiej dziatwy, jak nasz stary Cyryl. A dziwnie jakoś umiał ująć sobie małych uczniów — i to sprawiło, że zatrudnienie nauczycielskie stawało się dlań co chwila przyjemniejszem. Stary Cyryl ukochał dzieci z całej duszy, i całe zadanie swego działania zakładał na tem, by uzacniać ich młode serca, i oświecać świeże umysły. Dzieci zaś nawzajem przywiązały się najserdeczniej do swego starego nauczyciela, i w długie lata przechowywały wdzięczność dla niego. I cała prawie gmina wioski, a mianowicie wszyscy młodzi gospodarze nabyli od Cyryla najpotrzebniejszych wiadomości, i wzrośli pod jego okiem, to też czczono go ogólnie jak drugiego ojca. A było to najpiękniejszą nagrodą dla starego nauczyciela, gdy się patrzył na tę nową generacyę wioski, uświęconą i uszlachetnioną skromnym wprawdzie, lecz rzetelnym i użytecznym zasobem nauki... Było to proste, niewykwintne wykształcenie, bo też i było przeznaczone jedynie dla poczciwych prostaczków — ale było ono może pożyteczniejsze i głębiej może utkwiło w umyśle i sercu, niż erudycya z najmędrszych ksiąg, z ust najuczeńszych profesorów czerpana.

Lecz mimowoli odbiegamy od właściwej treści opowiadania... Nie nasza to wina, bo ilekroć nawinie się w powieści podobna postać, jak starego Cyryla — to chociażby nienależała nawet do opowiadanych rzeczy, trudno ją jakoś pominąć, bez serdeczniejszego nad nią rozgadania się...

Nasz wiejski nauczyciel, zanim poświęcił się swemu teraźniejszemu zatrudnieniu, przeszedł rozmaite po większej części gorzkie i ciężkie koleje życia. Był z początku prywatnym urzędnikiem, i długo tułał się od dworu do dworu. A nie wszędzie trafiał stary Cyryl na poczciwe serca, któreby go ocenić i zrozumieć zdołały..... Wart szczęśliwszego losu — widział się przecież nieraz bez kawałka chleba, a gdy go znalazł, to tak gorzki i suchy, że go i spożyć sił niestawało... Zapragnął więc spokojnego, cichego życia, chociażby było połączonem z mozolnemitrudami. I znalazł je nareszcie w ustronnej wioszczynie, na posadzie sielskiego nauczyciela. Cyryl posiadał znakomitsze zdolności i sporszy zasób wiedzy, niż ktokolwiek inny na jego stanowisku — a co ważniejsze, posiadał szczerą wolę do pracy dobroczynnej i pożytecznej, choć cichej; — więc znalazł się na swem nowem miejscu, jakby w własnym żywiole.

Powoli też przywiązał się Cyryl do swego teraźniejszego życia tak silnie, że byłby go za żadne nie zamienił godności. Ożenił się, i to uzupełniło jego skromne szczęście. Wprawdzie żona go wkrótce odumarła; ale został mu po niej syn, który go pocieszał po stracie towarzyszki i jednał z losem. Synem tym był znajomy nam już Staś.

Staś jednakowoż nie był jedynakiem. W domu wiejskiego nauczyciela chowała się jeszcze dziewczynka, która wprawdzie niebyła córką Cyryla, ale którę on kochał czulej i serdeczniejszą otaczał opieką, niż niejeden ojciec swe rodzone dziecię. Było to owe dziewczę urodziwe, z którem już u góry zabraliśmy znajomość — trzynastoletnia Marysia.

Historya przybycia małej dziewczynki w dom Cyryla jest zarazem charakterystyką jego złotego serca.

Ośm lat temu już minęło. Było to w słotny i mglisty dzień lipcowy. Niebo się obwlekło szarą zasłoną chmur wilgotnych, a deszcz padający w drobnych, lecz gęstych kroplach, zapowiadał dłuższą słotę. Do chaty starego Cyryla przybiegł posłaniec od miejscowego proboszcza, wzywający go do tego ostatniego. Nasz nauczyciel bowiem pełnił zarazem i czynności miejscowego dyaka— które były połączone z urzędem wiejskiego nauczycielstwa. Cyryl zebrał się spiesznie i czemprędzej udał się do proboszcza.

Proboszcz wybierał się właśnie z Przenajśw. Sakramentem do jakiejś chorej mocno pani, która przyjechała była do wioski na żętycę, i dla tejże potrzebował pomocy Cyryla. W małej, nędznej chatczynie, u jednego z najuboższych chłopków gromady mieszkała chora. Była to wdowa po urzędniku. Cierpiąca na ciężką niemoc piersiową przyjechała, nie mając dostatecznych środków, do naszego górskiego sioła, by poratować

podkopane zdrowie. Nie tyle chęć dalszego życia, ile miłość macierzyńska powodowała zapewne co do tego kroku biedną niewiastą. Miała ona małą, pięcioletnią zaledwie córeczkę.

W ciemnej i dymnej izbie leżała chora wdowa. Bladość trupia okrywała jej lica, na których gorączkowy rumieniec wypiekł się w dwóch ciemno-czerwonych plamach. Mimo cierpień ciężkich, i głębokich śladów długiej choroby — wdowa była jeszcze piękną. Zaledwie dwadzieścia kilka lat mogła liczyć, twarz jej ściągła i przezroczystej prawie delikatności uderzała rzadką pięknością rysów, i jakimś szlachetnym, pełnym niepospolitej godności wyrazem. Oko ciemne gorzało chorobliwym blaskiem, i tem silniej odbijało od wspaniałego, bladego czoła. Cała zaś postać nosiła na sobie znamię szlachetnej i szczytnej a nieugiętej duszy — bo niezdołały jej przecież złamać ani burze losu, ani słabość śmiertelna, ani nareszcie ciężki niedostatek...

Była to jakby marmurowa istota, nieczuła jak posąg na cierpienia i klęski, bo wzniosła nad nie hartem nieprzełamanym i dumą jakąś piękną... Jedna tylko myśl, myśl najokropniejsza, najsroższa dla matki — zdawała się niszczyć stoiczną determinacyę i siłę duchą biednej wdowy... Zostawiała po sobie swą małą córeczkę, swe jedyne najdroższe dziecię — zostawiała sierotkę bez wszelkiej opieki i pomocy na świecie... A z własnego doświadczenia — jakżeż strasznie malowała sobie ten świat!... Wszakżeż był dla niej cmentarzem, uroczyskiem, zasianem grobowemi mogiłami — drogą na Golgotę, usłaną cierniem...

Mała dziewczynka stała koło łoża matki, i płakała temi łzami, które natura bezwiednemu dziecięciu wyciska, by niemi się skarżyło na to, czego nie pojmuje, nie rozumie..... A biedna matka, leżąca w ostatnich tchnieniach, ile kroć spojrzała na swą nieszczęśliwą córkę, tylekroć ciężej i boleśniej wzdychała... Nawet wyraz tej wyniosłej dumy, który zda się skamieniał na twarzy wdowy, łagodniał znacznie... lub ustępował niewysłowionej boleści...

Gdy proboszcz z Cyrylem weszli do izby, już zaledwie kilka krótkich chwil dzieliło chorą od śmierci. Kapłan tyle tylko jeszcze uzyskał czasu, że mógł dać umierającej ostatnie pomaszczenie olejem świętym... Wdowa rzuciła spojrzenie na córeczkę, pełne miłości i żalu, spojrzenie ostatnie, którem chciała udzielić jej tego błogosławieństwa macierzyńskiego, które się nad biedną sierotą unosi w życiu opiekuńczym aniołem-stróżem — a potem spojrzała na księdza i Cyryla z uroczem wyrazem niemej, ale serce przenikającej prośby—i żyć przestała.

Prośbę tę umierającej wdowy, to rozpaczliwe odwołanie się do ludzi, którzy jej może tyle ran zadali za życia, zrozumiał od razu poczciwy Cyryl... Bóg mu dał serce czułe, wskazał drogę chrześciańską, więc umiał wyczytać z spojrzenia skargę, z niemej łzy prośbę — zaten spieszył, by pierwszą ukoić, a drugę spełnić. I wspomniał sobie, że i on ma syna małego, który może również znaleść się kiedyś w smutnem położeniu osierociałej dziewczynki....

Toż nie namyślał się długo nasz nauczyciel. Otarł łzę z oka, i... zbliżywszy się do proboszcza, rzekł stanowczo:

— Dobrodzieju! ja tę sierotę wezmę do siebie!.... Bieda u mnie w domu; ale Bóg jakoś dopomoże..... Przecież to mówią nienadaremnie ludzie: *nad syrotoju Bih z kałytoju*, więc biedna dziewczynka wniesie mi w ubogi dom błogosławieństwo nieba...

I jak powiedział, tak też uczynił. Mała Marynia poszła w domek starego Cyryla, i tak jakoś serdecznie przylgnęła do niego, jakby do ojca rodzonego. A choć jedna głowa przybyła do rodzinnego kółka, to mimo to nie przybyło wraz z nią trosk o chleb powszedni.... Owszem, stwierdzały się słowa Cyryla, i owo piękne przysłowie ruskie, na którem się opierały — bo nad chatą ubogiego nauczyciela zawisły spokój i swoboda, te najdroższe zadatki błogosławieństwa Bożego...

Jak powiedzieliśmy, przywiązała się Marynia do Cyryla, jak do ojca. To samo przychodzi nam powtórzyć i o stosunku między małą sierotką a synkiem Cyryla, Stasiem. Oboje dzieci pokochały się miłością gorącą, wprawdzie dziecinną, ale głęboką i serdeczną. W tem obopólnem przywiązaniu się było coś więcej nad miłość rodzinną brata i siostry, i niemoglibyśmy mu nadać imienia tej ostatniej... Zarzuci który, lub która z szanownych czytelników lub pięknych czytelniczek, że przypisywanie podobnie pojętej miłości, miłości kochanków, małym dzieciom, wygląda na niedorzeczność. Byłby to zarzut niesłuszny... Są uczucia, które się rodzą w bezwiednych, instynktem niejako kierujących się sercach z pewną siłą niepojętą, niewytłumaczoną... Jest to jakiś tajemniczy, magnetyczny pociąg, któryby nazwać można nasieniem, zarodem uczuć, mających rozkwitnąć w przyszłości.... A któż zgłębi dziwny świat uczuć sympatycznych i jego prawa fatalistyczne?... Zresztą, w chwili, kiedy wprowadziliśmy na scenę naszą parę: Staś liczył lat piętnaście, a Marynia trzynaście... Oboje znajdowali się tedy w wieku, który jest niejako progiem do dni młodocianych, do dni rozbudzonych uczuć, marzeń i snów...

Ale niepotrzebnie zaciekamy się w uwagi nad psychologicznemi tajnikami... A wystarczy nam przecież na tem, jeśli powiemy, że Staś i Marysia kochali się nawzajem miłością pełną prawdziwej siły i prawdziwego uczucia, chociaż oboje nierozumieli tego uczucia i nieumieliby w dziecięcej jeszcze nieświadomości zdać sobie zeń sprawą. . I dla tego też tak żywo uczuł biedny Staś całą przykrość bliskiego rozstania.

(C. d. n.)

Ramoty starego Detiuka

O WOŁYNIU,

zebrał

Antoni Andrzejowski.

Poprawiona Zalotnica.

(Ciąg dalszy).

Rok tak przeszedł, p. Urbanowska powiła syna, którego starsi z całej majętności do chrztu trzymali. Piękny to był i uroczysty obchód. Pomiędzy kolumnami pałacowego ganku wznosił się wspaniały ołtarz, w środku dwóch, złożonych na krzyż półsetków pięknego krajowego płótna, na bogatej poduszce leżało pańskie dziecię, a starce i podeszłe niewiasty trzymały brzegi płótna od końców aż do poduszki, i dwieście głosów powtarzało słowa sakramentalnego obrzędu. Zamożni kmiecie, sumiennie i umiejętnie rządzonego majątku na krzyżmo złożyli kosztowne srebrne stołowe naczynia. Wszystko najpiękniej się składało, Ludwika opływała szczęściem. Ale szczęśliwość, jak błyskawica, mignęła. Od urodzenia syna p. Michał zaczął mocno zapadać na zdrowiu, a jeszcze mały Teodorek lat dwóch niemiał, kiedy ojciec jego u wód za granicą życie zakończył.

Z rozpaczą przyjęła Ludwika wiadomość o zgonie męża, bo i przywiązaną do niego była i zgon p. Mi-

chała bez testamentu stawiał ją w bardzo niepomyślnem położeniu. Bracia p. Michała, a osobliwie p. Krzysztof, człowiek światły, uczony, ale trochę dziwak, niewiele do bratowej ceny przywiązywał, bo znał jej usposobienie, i jej nieustalony charakter. Temu przyznaną była opieka nad majątkiem, nad synem i nad wdową po bracie. Odpowiedzialny i przed światem i przed własnem sumieniem za całość majątku i wychowanie synowca, zamieszkał w Cepcewiczach, i nieujmując przyzwoitego utrzymania, ograniczył zbytki p. bratowej. Niepodobała się wdowie taka zmiana; ale ufna w swą piękność, wszelkich środków używała dla osiągnienia przywiązania p. Krzysztofa. Ale — aby zająć człowieka tak wyższego umysłowem usposobieniem, potrzeba było czegoś więcej jak pięknego lica, a właśnie tego czegoś w p. Ludwice nie znajdował: wszystkie więc zalety wdowy rozbijały się o serce zimnego filozofa, jak o głaz jaki — często nawet w uszczypliwym jego żarciku przebijało coś nakształt pogardy.

Starsza siostra Ludwiki była za p. cześnikiem Koniuszewskim, pełnomocnym Urbanowskich—ten, jako szwagier, pomagał zamiarom siostry; ale. widząc, że wszystko napróżno, tak rzeczy nastroił, że wdowa zabrawszy syna, którego dotąd jej nie odbierano, skrycie wybrała się do Warszawy. Nie dopuścił tej ucieczki stryjaszek, odebrano p. wdowie syna, a dla niektórych, nierozsądnych trzpiotostw wzięto jejmość pod ścisły dozór, prawie w kuratelę. Srożyła się, groziła; ale p. brat z zimną obojętnością słuchał gróżb i wyrzutów, i postępowania swego nie zmienił. Radby był p. Koniuszewski pomagać Ludwice, i przemyśliwał nad sposobami ratunku; ale bojąc się narazić pryncypałowi, działał tak skrycie, że i wdowa o niczem nie wiedziała. Tymczasem dni upływały, Ludwika zmieniła postępowanie, mniej się burzyła, p. Krzysztof był delikatniejszym. Wdowa uzyskała wolność widywania codzień syna i wyjeżdżania w sąsiedztwo. P. Koniuszewski tego tylko oczekiwał. Razu jednego p. Ludwika wyjechała, niby do Stepania, z wizytą, i ztamtąd już nie wróciła. Młodszy Koniuszewski czekał tam z karetą podróżną i z rzeczami, a dowiózłszy do Dubna, dniem i nocą ztamtąd powiózł do Warszawy.

Widząc p. Krzysztof, że bratowanie wraca, był markotny; ale znając dom zacny, do którego w odwiedziny pojechała, uspokoił się zupełnie, pewny, że nazajutrz powróci; ale kiedy konie i powóz odwożące do Stepania wróciły i ludzie donieśli, że pani, przesiadłszy tylko do innego powozu, dalej w stronę Międzyrzecza udała się, zmieszał się mocno, myśląc jednak, że do Butowiec zawróciła, wysłał wiernego sługę za uciekającą z listem do kasztelanowej, a drugich w inne strony porozsyłał. Stracili gońcy ślad, i z niczem powrócili. Zadrżał z gniewu p. Krzysztof, wszystkich otaczających obwiniał, na winnego jednak nie miał żadnego podejrzenia. P. Koniuszewski wymawiał mu, że niepotrzeba było jejmości cuglów popuszczać i tyle swobody pozwalać. Trapił się i gniewał p. Krzysztof, a wdowa tymczasem szczęśliwie w Warszawie stanęła.

W komisyi cywilno-wojskowej, złożonej ze światłych mężów, zasiadał znany ze swych zasług w kraju Tadeusz Czacki—p. Krzysztof był także tej komisyi członkiem, ztąd i znajomość bliska i obywatelskie stosunki tych dwóch urzędników łączyły. Znała i p. Urbanowska p. starostę, i... przybywszy do Warszawy, jego się opiece polecić postanowiła. Nie tracąc czasu, nazajutrz zaraz starała się wywiedzieć o mieszkaniu p. starosty, a trzeciego dnia do niego z wizytą pojechała. P. Czacki pracował w swoim gabinecie, gdy mu dano znać, że dama jakaś żąda się z nim widzieć. Zerwał się od biura, i na prędce, jak mógł ubrawszy się, wyszedł do salonu na przyjęcie przybyłej damy. P. Urbanowska, w grubej żałobie, osłonięta czarną krepową florą, z pod której jeszcze więcej jaśniały jej wdzięki, postąpiła parę kroków i rzuciwszy się na kolana: „Ratuj nieszczęśliwą wdowę!“ zawołała z płaczem. Podniósł ją p. Czacki, i w krześle posadził, a sam usiadłszy obok, z uprzejmością wypytywał o interes, jaki ją sprowadza. Tu dopiero Ludwika, nie oszczędzając mężowskiego brata, narzekała, że jej wydarto wszystko, nawet syna; że ją jak w więzieniu trzymają; że doznała ucisku i pokrzywdzeń, na jakie nie zasłużyła. Pan starosta słuchał z uwagą, nie wszystkiemu może i wierzył, ale w tem złotem sercu przeważała litość nad cierpieniem bliźnich, i wzruszony rzekł: „wszystko, co pani mówisz, obruszy każdego, czułego na cierpienia drugich człowieka; jeżeli mi pani zaufasz, będę się starał radzić jej to wszystko, co rozum, co sumienie czynić tu pozwalają.“ „O zasłoń mię protekcyą twoją! Poddaję się woli twojej, a co rozkażesz za najświętsze prawo mieć będę.“ — to mówiąc, chwyciła rękę starosty i do ust swoich poniosła, nie dopuścił starosta, i piękną rączkę pięknej wdowy z uczuciem pocałował. Przekładał p. Ludwice środki umiarkowane, może polubowne układy, ale wdowa płakała i swoich ciemiężycieli najczarniej malowała. — „Interes jest ważny — mówił p. Czacki — i najpiękniej by było, zgodnie go ukończyć; ale, kiedy pani tak o zaciętej nieprzyjaźni dla niej p. Krzysztofa trzymasz, ta sprawa o tron oprzeć się musi. Wypada więc pani naprzód zaprezentować się królowi, i prośbę do niego podać.“—„Jakże ja będę śmiała stanąć przed obliczem monarchy?“—„Najjaśniejszy pan jest nader przystępny i nikomu nigdy posłuchania nie odmówił. Dziś będę u dworu i wybadam chwilę, w której król przyjąć nas raczy, ba z najszczerszą chęcią towarzyszyć będę.“ — Odpowiedź ta przeszła nadzieje wdowy, wiedziała, że król Stanisław nie był obojętnym na wdzięki płci pięknej; wiedziała i to, że był zalotny, w tej więc samej chwili, w myśli jej wyrodziły się olbrzymie marzenia, zachwycające pomysły: narzucenia królowi imci różanych okowów, jej wdziękami uwitych; troskliwość nawet swego protektora na karb tych wdzięków liczyła, ale te p. Czackiego nie zachwyciły, szukał tylko w swej pamięci znajomego tych rysów podobieństwa. Pan starosta wziął adres p. Urbanowskiej, przyrzekł ją uwiadomić o czasie wizyty, i żegnającą go damę aż do karety odprowadził.

Tego wieczora były pokoje na zamku i mnóstwo osób płci obojej pierwszej dystynkcyi przechadzało się po salach, damy zasiadły bogate wezgłowia, króla jeszcze niebyło. Wszedł Czacki, otoczyli go: Ignacy Potocki, Małachowscy, Kołłątaj, Naruszewicz i Tarnowski szwagier i inni, a widząc w twarzy jakieś zakłopotanie, roztargnieni, wypytywali o przyczynę; zbywał ni tem, ni owem zapytania, a wszystko poglądał na drzwi, z których król miał wchodzić. Rozmowa rozmaicie się po różnych gromadach toczyła, wszystkich jednak prawie przedmiotem był zbyt wczesny zgon Julii z Lubomirskich Potockiej, pięknością sławnej w Europie, pięknością duszy uwielbianej w kraju ojczystym. Potrzeba było, ażeby natura podobieństwo uderzające do Julii dała p. Urbanowskiej. Czacki nie mógł się wstrzymać, aby o tem podobieństwie nie wspomnieć, a razem nie okazać niewinnego prześladowania tej cierpiącej piękności. Zainteresowało to wszystkich i każdy żądał poznać tę piękną wdowę i nieść jej jakąś usługę, damy nawet nie bez współczucia wypytywały się o nią.

W tem paziowie oznajmili wejście monarchy. Pani krakowska, po pierwszem powitaniu, oświadczyła bratu,

że starosta Czacki ma jakąś nieszczęśliwą klientkę, piękną i do Julii Potockiej podobną: król zbliżył się do p. Czackiego, zapytując, z jakichże to stron wywiózł tę znakomitą osobliwość? — „Z głębokiego Polesia najjaśniejszy panie! przybyła ona szukać w stolicy wsparcia i obrony przeciw uciskającym ją pokrewnym zeszłego męża.“—„Znajdzie je u nas — rzekł król tonem mniej lekkim — byleby sprawa jej czystą była.“ — „Wdowa lęka się wszelkiego procesu i w samej tylko wielkomyślnej wspaniałości naszego monarchy całą nadzieję pokłada.“—„Więc p. starosto! słucham wywodu tej sprawy.“—„Czy nie raczy w. kr. mość raczej pozwolić, aby wdowa sama interes swój opowiedziała?“— „Obecność w. kr. mci i najbojaźliwszego oswoi.“ — „Jakże się zowie wmpana klientka?“ — „P. Urbanowska.“ — „Więc jutro o dziesiątej czekam.“

Obrócił się król gdzieindziej, i innym osobom dał ucho; p. Czacki tym czasem spieszył donieść wdowie o pomyślnem wyrobieniu posłuchania. Ludwika nie spodziewała się żadnych odwiedzin; w negliżu wieczornym, pół leżąca na kanapie, rozmawiała z panną Urbańską, o Czackim, o królu, o nietajnych w Warszawie intrygach dworu—lokaj oznajmił p. starostę nawogródzkiego. Zapomniała Ludwika o swoim zaniedbanym stroju i naprzeciw pretektorowi aż do przedpokoju wybiegła. „Jutro, o godzinie dziesiątej, masz pani posłuchanie u króla, na tę godzinę chciej być gotową, moja kareta czekać ją będzie.“—„Jakto, p. starosta ze mną nie pojedzie?“ — „Pani mię tam zastaniesz, oto jest i prośba gotowa, staraj się tylko, o ile można, oszczędzać honoru mężowskiego brata. Daruj pani, że ją pożegnam, zatrudnienia moje tak są pilne, że służę jej tylko na chwilę, ażeby dobrą nowinę zwiastować“— to rzekłszy, ucałował rękę wdowy i spiesznie wyszedł. Nie śmiała Ludwika zatrzymywać, może nawet i nie chciała, bo w uszach jej silnie brzmiały słowa p. Czackiego, bo jej myśl już tylko królem była zajęta. Natychmiast więc zaczęły się narady z p. Urbańską o jutrzejszej prezentacyi i długo w noc się ciągnęły i długo jeszcze marzenia słodkie zasnąć wdowie nie dały.

Nazajutrz przed dziesiątą król ubrany oczekiwał ciekawie przybycia zapowiedzianej damy, twarz miał wypogodzoną, a wiadomo i z podania i z portretów, jak ta twarz piękną była i ujmującą. Piękny paź, Serafin Płotnicki, pełnił dnia tego służbę przy królu. Na pokojach mało się jeszcze zebrało osób; ale starosta nowogródzki już się między niemi znajdował, niespokojnie oczekując swojej klientki. Płotnicki młody, żywy, dworak, wyglądał także owej piękności, o której wczorajszego wieczora jedynie tylko na pokojach mówiono. Służbie zapowiedziano, żeby przed damą w żałobie podwoje były otwarte—jakoż o 10tej otworzyły się podwoje, i weszła pani Urbanowska w pełnej żałobie i w całej świetności swych wdzięków. Serce jej gwałtownie biło, interesująca bladość pokryła lica. Płotnicki spotkał ją przy drzwiach, chciał coś przemówić... i słowa mu na ustach uwięzły, chcąc ukryć pomięszanie, pospieszył do króla z oznajmieniem przybycia pięknej wdowy, a tymczasem p. starosta witał ją i ośmielał. W kilka minut Płotnicki zwiastował, że najjaśniejszy pan prosi p. Urbanowskę do swego gabinetu, p. Czacki podał rękę Ludwice i do drzwi królewskich odprowadził. Po kwadransie może wezwał król p. starostę, wdowa siedziała w królewskiem krześle, jeszcze łzy nie oschły na oczach, a już twarz jaśniała radością i dumą. „Interes p. Urbanowskiej jest ważny, polecam go sumieniu i gorliwości wmpana, chciej sam wybadać na miejscu jak się rzecz ma; niech krzywda i ucisk wdowy sprawiedliwie wynagrodzone zostaną. Klientka twoja jest moją klientką, bo król winien ojcowską opiekę wszystkim swoim poddanym, a szczególniej sierocie i wdowie.“—„A do tego pięknej wdowie“ — mruknął sobie pod nosem Płotnicki. „Serafinie! — rzekł król do pazia — asystuj p. Urbanowskiej, do pani krakowskiej moim ekwipażem.“ Wstał król, podał rękę Ludwice i do drzwi sali odprowadził, a żegnając do zobaczenia piękną rączkę ucałował. P. Czacki został u króla i dowiedział się, że w interesie wdowy pospiechu nie potrzeba.

(*C. d. n.*)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Za nim do zwykłego przystąpimy sprawozdania, podniesiemy jedno ogólne postrzeżenie. Od przeszło tygodnia teatr tutejszy coraz mniej bywa uczęszczany. Powód do tego łatwo odgadnąć!... Jest nim poważne w tej chwili, i nie ciągle wesołe usposobienie powszechności. Odzywały się nawet głosy, że w obec smutnych wypadków teatr zupełnie zamkniętym być powinien. Dla wielu łatwych do odgadnienia przyczyn, rzeczy tej rozbierać gruntownie i stanowczo zawyrokować o niej nie możemy i nie chcemy. Zrobimy jeno uwagę, że w każdym razie istnienie sceny narodowej u nas jest potrzebą narodową, a upadek jej narodową byłby szkodą. Owóż bać się należy, by zamknięcie teatru nie dało pochopu rozmaitym przedsiębiorcom, do sprowadzenia do naszego miasta za pozwoleniem rządu przez to samo zamknięcie umotywowanego, na scenę polską obcego szwargotania i obcych trelów. Dyrekcya teatru zresztą kontraktem do dawania przedstawień obowiązana, rozumiejąc doniosłość bieżącej chwili, stara się wedle możności wyprowadzać na scenę, jak najwięcej sztuk poważnych i narodowych.

A teraz wracamy do sprawozdania.

W minionym tygodniu przedstawiono najprzód: *Eudoxyę Czartoryską*, dramat historyczny w 6ciu obrazach. Utwor ten trudno nazywać dramatem; jest to obraz raczej dramatyzowany, niżeli dramatyczny, złożony z 6ciu mniejszych obrazków, których nie łączy w całość artystycznie pomyślaną ani zawikłanie intrygi, ani nawet rozwijanie się pewnych charakterów w samem działaniu. Są to obrazki poklejone razem węzłem bardzo wątłym, bo jest nim tylko tytuł, czas, w którym się działanie odbywa, i niektóre czasu tego razem zebrane szczegóły. Jest to epizod z napadów tatarskich, w którym Eudoxya Czartoryska, męzkim duchem obdarzona, w męzkiej zbroi, przykłada się do pogromienia wrogów. Kocha ona młodzieńca, którego dla pewnych familijnych względów zaślubić nie może. W chwili zwycięztwa, gdy jej stary hetman Tarnowski wieniec wawrzynowy na głowę składa, dowiaduje się bohaterka, że trudności, stojące zamierzonemu małżeństwu na zawadzie, już są usunięte; lecz zarazem dochodzi ją wieść okropna, że jej ulubiony zginął. Ot i cała treść dramatu. W to wszystko wsztukowane są sceny rozpaczliwe okolicy przez Tatarów splądrowanej, cyganka służąca naszym szeregom za szpiega, obóz tatarski komicznie przedstawiony i t. d. Mimo to obraz ten zajmuje dosyć, bo tło jest historyczne; występują w nim sławne nazwiska nasze, i jest w nim dla nas miły zawsze urok pamiątek naszej wielkiej i sławnej przeszłości. Przedstawienie

wogóle nie należało do najstaranniejszych, znać w niem było chłód i zaniedbanie, w skutek może dosyć pustych ławek. W grze odznaczyli się p. *Królikowski* (Tarnowski), pna *Hofmann* (Eudoksya)—i p. *Wisłocki* komiczną stronę hana tatarskiego oddał z prawdziwym humorem.

P. Hauserowi podobało się jeszcze raz uciąć nam swe łamane sztuki na skrzypcach; lecz tym razem teatr dość pusty tak mu jasno wytłumaczył usposobienie tutejszej publiczności, że pożegnał nas przecie. Niemożemy jak tylko życzyć mu szczęśliwej podróży. Przy koncercie odegrano dwie doskonale znane sztuczki: *Pierwej mama*, i *Błażek opętany*. Pierwej mama, znany to doskonale utworek Korzeniowskiego, zawsze miły, bo pełen wdzięku i szczerej prostoty. Na tutejszym teatrze, tem się więcej podobać musi, że panna *Biedrońska* oddaje rolę tej młodej dzieweczki polskiej z nadzwyczajną naturalnością i wdziękiem nieporównanym. Utalentowana artystka umie się tak doskonale wcielić w charakter swej roli, że zdaje się nam zaprawdę, że widzimy to naiwne, puste, a poczciwe i serdeczne dziewczę pol skie z szlacheckiego dworku naszego. P. *Tatarkiewicz* odegrał niewielką rolkę synowca pułkownika, w córce owej mamy zakochanego, wcale nieźle. Wspominaliśmy już o p. Tatarkiewiczu, jako o młodym poczynającym artyście, w którym widzimy zdolności. Owóż radzi temu jesteśmy, że i tym razem widzieliśmy zdanie nasze potwierdzone; mimo nieśmiałości bardzo naturalnej, i niepewności w ruchach i intonacyi, koniecznej w aktorze, który jeszcze nie przyszedł do równowagi, widać w p. Tatarkiewiczu szczere usiłowania i prawdziwe zamiłowanie w zawodzie, jaki sobie wybrał. To też cieszymy się szczerze, że dyrekcya dając mu już znaczniejsze rolki, daje młodemu artyście sposobność do wyrabiania tej zdolności, jakie posiada. O drugiej sztuczce *(Błażek opętany)* nic się nie da powiedzieć. Jest to jak wiemy drobnostka krotochwilna, sklejona bez wielkiego zmysłu zresztą... dramatycznego i estetycznego. Wspominamy jednakże o niej, bo godzi się podnieść, i po słuszności, grę niektórych artystów. A naprzód powtórzymy to zawsze, że p. *Benda* w rolach lud krakowski przedstawiających jest wyborny. Właściwości niektóre tego ludu, jego rubaszności i w mowie i w głosie nawet, oddaje on z taką naturalnością i prawdą, że nieomylimy się, gdy powiemy, że do ról tego rodzaju mało mamy podobnych p. Bendzie artystów. I tak p. *Janowski* rolę podobną, rolę Błażka, grał także z wielką prawdą, a przecież w nim widzieliśmy naśladowanie Krakowiaka, a w p. B. prawdziwego Krakowiaka. Podnieść jeszcze trzeba grę pani *Krajewskiej* i p. *Delchau*.

Grano dalej: *Jest temu lat szesnaście*. Dramat to istnie i par excellence francuski, bo interesujący zbiorem różnych wydarzeń i zawikłań. Ale też i prawdziwie po francusku niemoralny, do tego nawet stopnia, że można by go zupełnie wyrzucić z repertuaru naszego. Prawdziwego trzeba poświęcenia, i obedyencyi dla rozkazu dyrekcyi... w artystce, która musi opowiadać, jakim sposobem przyszła przed laty 16tu do ogromnego syna, którego posiada, idąc za mąż. Na takie opowiadanie, na taką podstawę dramatu, trzeba francuskiego cynizmu, który zimną krwią podaje swej powszechności podobnie obrzydliwą stronę. Bo już nawet nie idzie o uwiedzenie, które się da jeszcze jako tako obsłonić, ale o gwałt, o którym gdy jest mowa nawet przed kratkami sądowemi, to wypraszają słuchaczów z galeryi; a tu przed publicznością, do której należyć mogą i należą młode panienki, autor każe żonie przed mężem rozpowiadać podobną ohydę. Na to trzeba zaiste Francuza autora, i Francuski, by coś podobnego z zimną krwią opowiadała. Całą zaletą dramatu jest żywo oddana miłość macierzyńska i miłość synowska. Sceny ztąd wynikające, przerażając i zajmując razem, ratują sztukę od zupełnego potępienia, na które mimo to zasługuje najzupełniej zdaniem naszem. Tę jedyną zaletę w przedstawieniu podniosła jeszcze gra panny *Hofman* (matki) i panny *Biedrońskiej* (syna). Gra obu artystek w niektórych scenach przejmowała żywą prawdą. Pna *Biedrońska* w rolę swą umiała wlać tyle talentowi swemu właściwego uczucia, że pna Hofman, własną grą szczerze rozczulona, nie mogła już ostatnich słów dokończyć, porwana łkaniem spazmatycznem. Mniemamy, że takie przejęcie się rolą, przynosi zaszczyt artyście czy artystce; a tymczasem dziwna jest w tej mierze niesprawiedliwość zimnych sądów ludzkich. Słyszeliśmy głosy ganiące to mimowolne rozczulenie się, a nawet drwiące i niedowierzające. Jak gdyby artysta, czy artystka, nie mieli równie innym ludziom serca także, co bije wszystkiemi uczuciami. Czyliż artysta lub artystka mają być maszynami tylko, istnemi pozytywkami głoszącemi za nakręceniem wiecznie jedne i te same tony?... Smutno by też wówczas wyglądała sztuka dramatyczna!...

Przedstawiono jeszcze: *Starostę Wieluńskiego*. Dramat ten nie zyskuje na częstszem przedstawianiu; frazesowa czczość jego coraz jaskrawiej występuje. Mówiliśmy zresztą o tym dramacie tak niedawno, że tym razem to chyba dodamy, że mamy go już dosyć.

Niebieskie rękawiczki.

(Powiastka jakich wiele).

(Ciąg dalszy).

II.

Nazajutrz.— Co tu robić? — Młody chłopczyna. — Znowu karteczka. — Już nie ma najmniejszej wątpliwości.

Pierwszy brzask, zwiastun dnia nowego, obudził szczęśliwego Antosia z najpiękniejszych snów, jakie kiedykolwiek były udziałem śmiertelnika. Zerwał się na równe nogi, chcąc się jeszcze raz przekonać, czy ta karteczka była rzeczywiście zwiastunem szczęścia najwyższego; czy też tylko snem, z którego pragnąłby się nigdy nie obudzić.

Odczytał ją kilkakrotnie: „O tak, to nie marzenie, to prawda... ona mnie kocha... o! bo i ja ją kocham. Ona musi być moją. .“ — Te i tem podobne wykrzykniki dobywały się z przepełnionego najwyższą rozkoszą serca Antosia.

Przyskoczył do okna. W przeciwległych oknach zapuszczone firanki — wszystko jeszcze spało. Ale czego też nie zobaczą oczy bujnej wyobraźni. Antosiowi zdało się, że jego wzrok przeszył wszystko, co mu tamowało obszerniejszy widok. On był najpewniejszym, że widzi piękną *vis-à-vis*, leżącą w śnieżnej pościeli, ukołysaną najczarowniejszemi snami, nawet sny ubóstwianej malowały się jasno w jego wyobraźni. Byłby przysiągł, że właśnie śni o nim — a nawet, że widział, jak jej różowe usteczka składały się prześlicznie do wyrazu: Antoś..... kochany Antoś! Jak długo nasz bohater dumał oparty o okno z wlepionemi w jeden punkt oczyma? tego z pewnością powiedzieć nie można, za to tylko zaręczyć możemy, że zatopiony w marzeniach nie uważał wcale, gdy się okno otworzyło, a śliczniutka, bielutka rączka przesunęła się, trzymając szklankę nad wazonami i pokrapiała wodą spragnione kwiaty.

Zegar maryacki jęknął dziewięć razy, i obudził Antosia. To godzina wykładu na uniwersytecie. Ale gdzie

tu myśleć o wykładzie. Jak tu słuchać mądrej rozprawy o trzydziestoletniej wojnie, gdzie brat stawał przeciw bratu, syn przeciw ojcu? gdzież tu rozmyślać nad ludźmi o sercach pałających żądzą zemsty lub nienawiści, gdy jego serce było przepełnione miłością dla całego świata, gdy każdy z bohaterów owej epoki musiałby się w jego umyśle przemienić w anielską o blond włosach dziewczynkę. Wprawdzie odbyła się w sercu Antosia krótka walka z powinnością, bo on kochał nadewszystko swoją matkę, a opuszczona jedna godzina wykładu, z własnej winy, zdawała mu się zbrodnią w obec kochającej go rodzicielki... Miłość matki i kochanki stanęły do walki.... tym razem po krótkiem starciu zwyciężyło — drugie uczucie: wykład historyi poleciał gdzieś w kąt, a profesor przemienił się w piękne *vis à-vis*. Znowu zamarzył; ale tym razem zaczął już przemyśliwać o owej niedzieli, w której najgorętsze jego życzenia spełnić się miały: usłyszyć dwa słowa z koralowych usteczek, przycisnąć tę pulchniutką rączkę do gwałtownie bijącego serca, i do ust... o to szczęście, na którego wspomnienie można oszaleć.

Lecz, jak tu uwiadomić najdroższą, że dostał karteczkę puszczoną z okna, bo jak jej nie odpowie, gotowa się nie stawić na rendez-vous, w myśli, że nie odebrał wezwania.

Pójść... nie pójść do niej, przekładał sobie Antoś, pójść nie można, bo nie mieszka sama. Ta stara jejmość, to zapewne jakaś jej krewna.... mógłbym ją skompromitawać. Ha, nie ma innego ratunku, trzeba napisać, a co do wręczenia bileciku, później się namyślę.

Co postanowił — uskutecznił. Wziął elegancki, pachnący bilecik, nakreślił na nim następujące wyrazy, naturalnie nastroiwszy sobie przedtem do sytu czuba, i nabiwszy się do woli dłonią po czole. Bo to moje panie, najtęższe wypracowanie historyczne, filologiczne lub filozoficzne, to u naszego pana Antoniego — wedle przysłowia — jak chleb z masłem zjeść; ale pierwszy bilecik miłosny, choćby tylko z pięciu słów złożony, to nie tak łatwy, jak się wydaje.

Po długim namyśle napisał Antoś na owym bileciku co następuje:

„Najdroższa! Bóg rzucając na ten padół płaczu człowieka, obarczył go i przycisnął nędzą moralną. Musiałby on z nią przebiedz całą tę ścieżkę ostrą i ciernistą, którę życiem nazywamy, i stanąć u jej kresu, to jest nad grobem, nie skosztowawszy ani szczypty szczęścia i rozkoszy.... gdyby Najwyższy ulitowawszy się nad swoim tworem, nie zsyłał od czasu do czasu na ziemię aniołów.... w postaci kobiet ... kobiet-aniołów, które wybranego przez siebie obdarzają sercem, a tem samem zamieniają mu ten padół płaczu w raj... stokroć piękniejszy od tego, w którym nasi pierwsi rodzicy Adam i Ewa przemieszkiwali. Dla mnie tym aniołem, jesteś ty najdroższa... W niedzielę po południu, w ogrodzie strzeleckim koło strzelnicy... *Antoni.*

Odczytawszy z dziesięć razy, i nacieszywszy się tak gładkiem wysłowieniem, złożył Antoś bilecik w zgrabną kopertkę i wybiegł z myślą, jakimkolwiekbądź sposobem przesłania bileciku pięknej *vis-à-vis*.

Szczęście zdawało mu się sprzyjać. Na dole w sieni spotkał małego chłopczynę, którego często w przeciwległych oknach widywał. Chwała Bogu! — zawołał — już mam posłańca, od tego nawet czegoś więcej się dowiem — i dognawszy chłopczynę już przy bramie, powitał go grzecznie:

— Dzień dobry!

— Dzień dobry panu — odpowiedział zdziwiony chłopczyna, wytrzeszczywszy duże czarne oczy na Antosia.

Antoś zapomniał języka w gębie, nie wiedział jak tu dalej poprowadzić i utrzymać zaczętą rozmowę. Dziesiąta godzina, bijąca na wieży, dała mu temat:

— Czy to dziewiąta, czy dziesiąta?

— O już dziesiąta, proszę pana!

— O dla Boga zaspałem dzisiaj.

— A przecież pan już dawno wstałeś.

— A zkądże ty to wiesz? mój kochany...

— A ciocia mi mówiła.... jeszcze bardzo rano widziała pana stojącego przy oknie... co dnia pana widzimy... bo my mieszkamy naprzeciw pana.

Aha! więc to jego ciotka — pomyślał sobie Antoś — taka młoda.... aha, pewnie syn jej starszej siostry. Chłopczyna dalej mówił:

— Bo pan mieszka pod panem Ernestem, naszym krewnym, co na zamku grywa podczas sumy na wiolenczeli. Na schodach dały się słyszeć kroki.

— Aha, to pan Ernest schodzi — rzecze, chłopczyna, — muszę odejść, bo on się gniewa na mnie... jego i ciocia bardzo nielubi. Padam do nóg pańskich — uchylił czapki i puścił się w ulicę. Tu trzeba coś stanowczego przedsięwziąć. Drugi raz nie nadarzy się taka sposobność. Antoś puścił się za chłopczyną, i dopadł go na rogu przecznicy.

— Masz tu mój kochany — rzecze dając mu bilet — oddaj to cioci; ale tak, żeby starsza pani nie wiedziała, bo to bardzo ważny i pilny interes.

— O niech się pan nie boi, starsza pani jest ciemna, leży ciągle w łóżku...— tych słów już nie słyszał Antoś, gdyż, oddawszy bilet, pędem puścił się do domu.

Przyszedłszy do pomieszkania, chciał się zająć jaką robotą — próbował to czytać, to pisać, ale mu to wszystko nie szło w ład, kilka razy zbliżył się do okna, ale jak każdy młody, pierwszy raz zakochany, obawiał się i wstydził spotkać się z wzrokiem ubóstwionej po tak siarczystem wynurzeniu swoich afektów. Czas mijał Antosiowi nadzwyczaj szybko. Zapomniał o obiedzie, i było już dobrze po trzeciej, gdy usłyszał lekkie pukanie do drzwi, które się na głośne: kto tam? otworzyły. W progu ukazała się twarzyczka małego chłopczyny.

— To od cioci odpowiedź, proszę pana — powiedział prędko, a oddawszy Antosiowi bilecik, wybiegł.

Antoś przełamał w okamgnieniu pieczątkę, a jego oczy poiły się widokiem koszlawych liter, które... formując słowa... następujący sens stanowiły:

Panie Antoni!

Wierzę panu... w pana czucie, bo to być może, że mężczyzna zakocha się w kobiecie bardzo, ale to jeszcze pytanie, czy pan we mnie tak kocha się, jak pan pisze, bo to wy panowie!! to często tylko bałamucicie biedne kobiety. W niedzielę będę w strzeleckim ogrodzie, tam się rozmówimy.“

— Ona mi nie wierzy, o moje złoto, mój anioł kochany! mnie nie wierzy, co ją kocham nad życie, nad wszystko... ha! co to jest?... — zawołał uradowany, przyskoczył do okna. W tej chwili piękna biała rączka zrobiła w przeciwległym oknie koło chusteczką.

— O tak!... — wykrzyknął uszczęśliwiony Antoś — ona mnie kocha... kocha, już nie ma najmniejszej wątpliwości — i zatoczył się jak pijany na sofę.

Nad głową jego odezwały się tony wiolenczeli w jakiejś płaczliwej fantazyi. *(C. d. n.)*

Dołączają się mody paryskie za miesiąc styczeń dla prenumerujących na nie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.